

CZARNE SŁOŃCE WOKULSKIEGO

Piotr Kępiński

Niewiele znajdujemy takich przykładów w literaturze światowej, aby bohater powieści uzyskał w oczach publiczności wszelkie znamiona żywej i dotykanej osoby, jak to się zdarzyło głównemu bohaterowi *Lalki* Stanisławowi Wokulskiemu – pisał Czesław Miłosz. – Tak oto w okresie międzywojennym wielbiciele Prusa wyrazili swoje uczucia przez umieszczenie na murze warszawskiej kamienicy (którą udało się zidentyfikować dzięki dokładnemu opisowi w powieści) tablicy: „W tym domu mieszkał w latach 1878-1879 Stanisław Wokulski, postać powołana do życia przez Bolesława Prusa w powieści *Lalka*. Uczestnik powstania 1863, były zesłaniec syberyjski, były kupiec i obywatel M. St. Warszawy. Filantrop i uczonek, urodzony w r. 1832.”

Dzisiaj Wokulski zmartwychwstaje za sprawą Krzysztofa Rutkowskiego, który wydał właśnie niewielką objętościowo (zaledwie 136 stron), ale niezwykle ciekawą i ważną książkę *Wokulski w Paryżu*.

Ponad sto lat później autor *Raptularza końca wieku* rusza śladem bohatera *Lalki* do miasta ładu, nowoczesności, harmonii i postępu; miasta, w którym doktor Geist odkrył metal lżejszy od powietrza; miasta, w którym wszyscy i wszystko jest na swoim miejscu. Tylko Wokulski, jak się zdaje, jakoś tam nie pasował. Oczywiście, nie jest to opowieść topograficzno-historyczno-literacka. Nic z tych rzeczy. Rutkowski nie powieła żadnych schematów. On wyjmuje Wokulskiego z literatury – jak uczynili to swego czasu mieszkańcy Warszawy, fundując mu tablicę – i wrzuca go w zupełnie

Krzysztof Rutkowski: *Wokulski w Paryżu*. słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2010, s. 136.

inny kontekst: duchowo-filozoficzny. Rutkowski wyjmuje Wokulskiego z powieści, stawia przed sobą i szkicuje najpierw jego portret, potem portret zbiorowy z wieloma postaciami *Lalki*, a potem, używając kolorowych farb, wypełnia owe szkice treścią. Rutkowski wyjmuje w końcu Wokulskiego z kontekstu innych powieści Bolesława Prusa. Widzimy przed sobą czysty mit, a raczej proces jego dekonstrukcji i ponownej konstrukcji.

Tylko po kiego diabła zabiera się Rutkowski za opisanie tego mitu? W końcu Wokulskiego w Paryżu opisywały już liczne tęgie głowy, specjalizujące się nie tylko w literaturze polskiego pozytywizmu. Po co na nowo odkrywać czy reinterpretować szkolny i uniwersytecki standard? Co takiego jest w Wokulskim, żeby czynić z niego przedmiot badań?

Odpowiedzi na te wszystkie pytanie są dosyć łatwe. Stanisław Wokulski fascynuje przede wszystkim tym, że za łatwo uczyniono z niego standard i *evergreen*. Bo przecież jest to postać ze wszech miar umykająca tanim i powierzchownym sądom, jakich nie ustrzegł się chociażby i Czesław Miłosz opisując w swojej *Historii literatury polskiej* pobyt Wokulskiego w stolicy Francji: „Wokulski zdradza tam swoje «wschodnioeuropejskie» kompleksy. Zazdrości Zachodowi technologii, postępu, przemysłu i gorączkowej pracy. [...] Wokulski aż do końca powieści rozdarty jest między miłością do Izabeli a myślą osiedlenia się w Paryżu i użycia swego majątku dla udoskonalenia wynalazku Geista”.

Myślę więc sobie, że Rutkowski chciał w końcu napisać coś, co zdefiniuje Wokulskiego – nie zewnętrznego, ale wewnętrznego. Bo tego do tej pory nam brakowało. Że stworzy z Wokulskiego figurę, która będzie figurą uniwersalną, a nie użytkową. Bo do dzisiaj – choć z wieloma wyjątkami – i przywołać tu należy książkę Olgi Tokarczuk *Lalka i perła* – niewiele było w eseistyce ostatnich dwóch dekad prób nie tylko przypomnienia, lecz także rewizji ikon z literatury polskiej. A przecież Wokulski wydawał się zawsze wdzięcznym tematem do takich właśnie intelektualnych wizji-rewizji. To postać wręcz wymarzona, by ją na nowo napisać, żeby jej zajrzeć w głąb duszy i ciała.

I Rutkowski od pierwszego do ostatniego zdania idzie tym właśnie tropem. I robi to koncertowo.

Już sam początek książki zachwyca: „Wokulski pojechał do Paryża po śmierć, której nie znalazł, i po życie, które go odbiegło w drodze. Wokulski jechał do Paryża z cieniem, z powidokiem, czyli ze Starskim, o czym powiedział Rzeckiemu doktor Michał Szuman, szaman, który wiedział wszystko”. Otóż po takiej introdukcji na nowo chce się czytać Wokulskiego. Przed oczyma stają nam sceny nie tylko z powieści, lecz także z filmu. Bo – czy chcemy, czy nie chcemy – Wokulskim dla nas, którzy *Lalkę* czytaliśmy i czytamy nadal, pierwszym zmaterializowanym Wokulskim, jest aktor Mariusz Dmochowski (z filmu Wojciecha Jerzego Hasa z 1968 roku), a drugim Jerzy Kamas, ze słynnego serialu w reżyserii Ryszarda Bera z 1977 roku.

Serial ciągle tkwi w naszych głowach. Ekranizacja Hasa odchodzi jednak w mrok. A chyba nie powinna. Bo to właśnie jego interpretacja *Lalki* jest o niebo ciekawsza niż zrobiony po bożemu serial Bera.

Bo to w istocie interpretacja. Nie tylko zwyczajna ekranizacja. Wiele rzeczy Has dodał od siebie. Można mieć mu za złe, że pominął *Pamiętnik starego subiekta*.

Paryża też nie zobaczymy. Nie ma w filmie Hasa miasta idealnego. Nie zobaczymy bulwarów ani harmonii stolicy Francji. Paryż jest w głowie albo raczej w głowach ludzi – bohaterów *Lalki* według Hasa. Jest artefaktem, wspomnieniem, pragnieniem, wyzwaniem. W filmie padają znaczące słowa, które Wokulski wypowiada przed wyjazdem. Na pytanie Rzeckiego: „Kiedy wracasz?”, bohater odpala: „Chciałbym nigdy”. I właśnie w tym momencie film Hasa wypełnia się – jak chce Rutkowski – sensem z powodu Paryża.

Nagle widzimy Dmochowskiego, który staje się „bykobyłą” albo lepiej „krobarrem” (wyjaśnia Rutkowski: „Jednym z przedmiotów namysłu uczonych stało się w tym czasie zwierzę wielce dziwne, owoc spółkowania wołu z kłaczą lub byka z kobyłą. Zwierzę to zwie się po francusku *jumart*. Polszczyzna nie знаła potąd odpowiednika nazwy francuskiej, wypada zatem polszczyznę wzbogacić. Smiało rzecz można, iż owoc spółkowania wołu z kłaczą lub byka z kobyłą godzi się nazwać kłaczowołem lub bykobyłą”... A skrzyżowanie barana z krową to „krobar”). Nie jest już zatem Wokulski postacią jednowymiarową w sensie metafizycznym; on staje się skrzyżowaniem niemożliwego z możliwym, pięknego z haniebnym, *flaneura* z kupcem. Wokulski – niczym dawniej Gustaw, który zmieniał się w Konrada, przeistacza się w Gerarda de Nervalą: „Tak, Wokulski coraz przypominał Gerarda de Nervalą, włączającego się po mieście ćwierć stulecia wcześniej. Tak, Wokulski, coraz bardziej do de Nervalą stawał się podobny. Wokulski postawił sam sobie diagnozę: był chory na raka duszy”.

Ostro pił: mazagran, szampana i koniak. „Koniaku pił najwięcej”. Wokulski pił koniak w sytuacjach ostrego zdenerwowania, w chwilach najsilniejszych ataków choroby psychicznej. Wokulski pił koniak, kiedy „przypominała mu się Warszawa albo ile razy spotkał kobietę mającą coś szczególnego w ruchach, w ubiorze czy fizjonomii”.

Wokulski pił, bo ciągle myślał o Warszawie, która kojarzyła mu się z chaosem duszy i z kobietą, z którą nigdy nie był i nie będzie. A Paryż zamiast go leczyć swoim pięknem i dostępnością – atakował marmurową harmonią, która okazała się równie niedostępna jak Izabela.

Okazał się nazbyt zimny i perfekcyjny. Bohater *Lalki*, szukając ukojenia, wybrał zbyt harmonijną harmonię. Ergo: choroba zamiast się cofać, zaczęła się multiplikować.

Tak pisze Rutkowski, a on wie, co pisze, bo jest przecież rasowym literackim psychoanalitykiem: „Wokulski był chory. Od dawna był chory. Od kiedy? Od chwili, w której zobaczył Izabelę Łęcką. Wokulski zobaczył po raz pierwszy Izabelę Łęcką w chwili, kiedy znajdowała się w dziwnym stanie, w odmiennym stanie ducha, w stanie prawie mistycznym, w który wprawiają odpowiednie ćwiczenia, rytuały, modły, nawiedzenie, opętanie lub intensywne życie płciowe. Izabelę Łęcką w ten stan wprawiały coraz częstsze wizyty Apollina”.

Bo – trzeba koniecznie dodać, że Izabela była bardzo młoda, bodaj osiemnastoletnia, kiedy nabrała przekonania, że jest boginią albo nimfą. I to chyba od tych czasów tyranizowała mężczyzn. Rutkowski ten wątek rozwija fantastycznie, przypominając Owidiusza, Pigmaliona i Narcyza. Kiedy opisuje walkę Wokulskiego z fantazmatem w Grand Hotelu, czytelnik odnosi wrażenie, jakby sam Bolesław Prus konty-

nuował akcję swojej powieści. Przypomnijmy: w hotelu bohater *Lalki* zmagają się z lustrem, które umieszczone jest w szafie. Zobaczył tam swojego sobowtóra, którego się przestraszył. Zobaczył siebie jako Narcyza. I poczuł, że musi uciec z tego pokoju. „Widmo, przed którym wyjechał z Warszawy, było już tu i stało za progiem. Umył się, włożył czystą bieliznę, przebrał się. Było ledwie wpół do pierwszej”. Minie kilka chwil, kiedy Wokulski wypowie znamienne słowa: „Oto miasto, w którym więcej przeżyłem w ciągu jednej godziny aniżeli w Warszawie przez całe życie... Oto miasto!”.

Ale co znaczą te słowa? Podziw dla Paryża? Czy tylko? Z tych słów wypływa nie tylko podziw. Słysząc także kompleksy i zagubienie. Nagle ten światowiec, jakim Wokulski niewątpliwie był, poddaje się jednemu miastu. A tym samym kończy swoje życie. Bo znalazł piękno, które nie ocala. Warszawa jest piekłem – niedostępnym. Paryż jest niebem – oddalonym. A Wokulski jest przecież bohaterem czyścica. A więc nigdzie i nigdy nie znajdzie ukojenia. Będzie – jak na wiecznego podróżnika przystało – przemieszczał się, mijając kolejne symbole i znaki, aby w końcu dotrzeć do miejsca wyjazdu. Po co? Po to, żeby wyruszyć raz jeszcze.

Pisze Rutkowski: „Podróż jak pogrzeb. Ostatnia podróż. Pasaż na tamtą stronę. Na nieznaną brzeg. Przeprowadzenie przez czarną rzekę. Mijały godziny, minęła północ, wzeszło słońce. Letarg Wokulskiego nie odstępował, jak go zresztą mógł odstąpić, skoro skończyło się Wokulskiemu życie, skończyła się ochota na życie, to poważna sprawa, to kłopot, to kres. Wokulski umarł z powodu Izabeli Łęckiej, choć on myślał, że ją tylko zostawił”.

Teraz – ten „krobar”, „bykobyła”, ten upiór – jedzie martwy do Warszawy. Leży na sosnowej desce. Choć to już nie jest Wokulski, raczej jego truchło.

Rutkowski pisze historię choroby tego dziwnego pacjenta – symbolu, którego życie rozpadło się jak „zwierciadło” Andrieja Tarkowskiego w momencie, w którym zrezygnował on z tysiąca drobnych codziennych prac: „Dopóki rozpisywałem listy, robiłem rachunki, odbierałem towary, rozsyłałem moich agentów, dopókim bodaj dzwigał i wyładowywał zepsute wozy albo czuwał nad skradającym się grabieżcą, miałem względny spokój. Ale gdym oderwał się od interesów, a nawet gdym na chwilę złożył pióro, czułem ból, jakby – czy ty rozumiesz, Ignacy? – jakby mi ziarnko piasku wpadło do serca. Bywało, chodzę, jem, rozmawiam, myślę przytomnie, rozpatruję się w pięknej okolicy, nawet śmieję się i jestem wesół, a mimo to czuję jakieś tępe ukłucie, jakiś drobny niepokój, jakąś nieskończenie małą obawę”.

To oczywiście – czyściec – terra melancholia. Na ten teren wkracza Wokulski. I nie ma dla niego żadnego leku. Tu nie pomoże ani miłość, ani namiętność.

Może gdyby Wokulski wyemigrował do wymyślnego czyścica, byłoby inaczej?

Ale, jak pisze Rutkowski, to Paryż był stworzony dla niego, bo jest to miasto idealne „do chodzenia po pijaku, w stanie upojnym i upojonym, tak jak Rzym jest stworzony do latania, a Warszawa do nasłuchiwania”.

Koniec końców musiał Wokulski, wcześniej czy później, wejść w rolę *flaneura*.

Według Rutkowskiego *flaneur* wiele ma „wspólnego z poetą, z artystą, z filozofem, ale też z leniuchem, z nierobem, z wyrzutkiem społecznym, który lekce sobie waży reguły i zasady życia w społeczeństwie, w którym praca, pilność, zapobiegliwość, zysk, sukces i bogactwo liczą się nade wszystko. *Flaneur* krąży po Paryżu i czyta miasto: dosłownie, wszak na ścianach, na słupach, na drzwiach i w oknach

wiszą tysiące ogłoszeń i reklam, oraz czyta ukryte znaki miasta: to co jeszcze nie zostało napisane. *Flaneur* jest kimś, ale kimś nieuchwytnym. Kimś wieloznacznym”.

Wieloznacznym – tak. Osobnym – jak najbardziej. Ale leniuchem? Tu mam pewne wątpliwości. Bo Wokulski mógłby być leniem „czasowym”, ale nie permanentnym.

Kolejny problem polega tylko na tym, że Wokulski, pragnąc wyzwolenia, wpisał się w Paryż niejako w sztuczny sposób. Wmyślił siebie w Paryż. To nie Paryż zawładnął nim, ale powoli – w sposób racjonalny – Wokulski wymyślił sobie siebie jako *flaneura* w Paryżu. Nie wiem tylko, czy dostatecznie wczuł się w tę rolę. Rutkowski sugeruje, że chyba tak; że prawdopodobnie – tak. Ja mam jednak wątpliwości, czy pan Stanisław był prawdziwym Księciem Bezdomy.

Niemniej jednak – choć polemizowałbym w tym miejscu z Rutkowskim – sugerując, że miejscem Wokulskiego byłaby bardziej ziemia niczyja, zawieszona w próżni, między niebem a ziemią – czytałem te fragmenty z największym chyba zainteresowaniem. Bo są to prawdziwe perełki literackie. Czuć, że Rutkowski oddycha postacią, o której pisze. Fantastycznie operuje językiem. Wywija nim z wielką maestrią. I nigdy nie przesadza. Wszystko ma pod kontrolą. Wszystkie słowa są policzone. Logika jest żelazna. Składnia, choć urodziwa, nie jest miałka. Pisze:

Wokulski umarł, ale jedzie, obol mu potrzebny, podobnie jak księciu Belizariuszowi, walecznemu wodzowi za cesarza Justyniana, zwycięzcy Wandali i Ostrogotów, zdobywcy Rawenny i Rzymu, który popadł w niełaskę cesarza, bo wierny swej Antonii, odrzucił zaloty cesarzowej Teodory, która go z zemsty fałszywie przed cesarzem oskarżyła o próbę gwałtu, podobnie jak żona Putyfara oskarżyła niewinnego Józefa, podobnie jak syryjska królowa Stratonike oskarżyła przed mężem-królem pięknego Kombabosa o gwałt z zemsty, że nie chciał z nią spółkować, ale Kombabos, znając chuć królowej, wykastrował się wprzód i swe zabalsamowane miodem i wonnościami genitalia zamknął w szkatułce, powierzył królowi i dzięki temu uniknął śmierci. O, tak! profesor Geist miał rację: kobiety zabijają stopniowo.

I dalej – coda całej książki:

Belizariuszowi cesarz kazał wyłupić oczy, odebrał majątek i Belizariusz żebrał na ulicach Konstantynopola, sypiał w szałasie, do którego przybił deskę z napisem: daj obola biednemu Belizariuszowi.

El tempo mayor de la desdicha. Największy przykład nieszczęścia. Dzieje Belizariusza opisał Antonio Mira de Amescua w dramacie znalezionym w Saragossie w roku 1632.

El ejemplo mayor de la desdicha. Książę Bezdomy. Belizariusz.

El Desdichado. Książę Bezdomy. Gerard de Nerval.

El Desdichado. Książę Bezdomy. Wokulski.

Fantastyczne zakończenie. Poezja. Dawno nie szedłem tropem tak doskonałego eseju.

★
Kiedy skończyłem czytać książkę Rutkowskiego, wpadła mi do rąk nowość Frederica Beigbedera *Francuska powieść*. Dziwnym zrzędzeniem losu, ten autor też opisał dzieje pewnego francuskiego Wokulskiego (koincydencja zaiste zagadkowa) – a mianowicie swojego ojca: typowego *flaneura*, którego pokolenie w dawnych do- brych latach pięćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia lubiło się świetnie zabawić w uroczym jeszcze Paryżu. A dzisiaj – pisze Beigbeder – nie ma już atmosfery dawnego lasku bulońskiego, wszędzie komórki, klaksony. Nie ma już świata francuskiego Wokulskiego. Harmonię szlag trafił trzydzieści lat temu. Albo... sto trzy- dzieści lat temu.

Książki

Poleca
JULIUSZ
KURKIEWICZ



Gdyby Thomasa Bernharda nie zabiła gruźlica, 12 lutego skończyłby 80 lat. Kilka nacie lat temu ukazała się w Polsce jego autobiografia i zapanowała bernhardomania. Jej dobre skutki to oczywiście mnóstwo tłumaczeń. Ale są i złe - upupienie pisarza w jednostronnym wizerunku austriackiego ponuraka, kaznodziei i potwora. Ten wizerunek stworzył sam Bernhard, przede wszystkim we wznovionych właśnie **„Autobiografiach” (Wydawnictwo Czarne, przet. Stawa Lisiecka)**. Pomysłowy tytuł polskiego wydania to ostrzegawcze światełko: nie mamy tu do czynienia z kawałkiem solennej prawdy, ale ze zbiorem autokreacji. Kolejne przybliżenia, obrazujące kluczowe momenty życia Bernharda, układają się w ponurą baśń o obdarzonym geniuszem półsierocie, oddanym do szkoły z internatem na pastwę sadystycznych nauczycieli (najpierw nazi-stowskich, potem katolickich), śmiertelnie chorym. W tej nowocześniejszej wersji „Baśni mojego życia” Andersena (najbardziej zelganej autobiografii w dziejach) jest i dobra wróżka: to dziadek pisarza, drugorzędny pisarz Johannes Freumbichler, który wierzy, że wnuk jest przeznaczony do rzeczy wielkich.

Najlepsze powieści z książką w roli głównej napisali Umberto Eco i Italo Calvino. W **„Wojnie i wojnie” Węgra László Krasznahorkaiego (W.A.B., przet. Elżbieta Sobolewska)** naj-

ważniejszy jest tajemniczy manuskrypt odnaleziony przez prowincjonalnego archiwistę. To, że opisano w nim losy czterech mężczyzn, których pojawienie się było zawsze zapowiedzią dziejowej katastrofy, nie uchroni go przed obsesją. Bohater wyrusza do Nowego Jorku, by tam wprowadzić do internetu treść manuskryptu. Czy „Wojna i wojna” potwierdzi opinię Susan Sontag, która nazwała pisarza „mistrzem apokalipsy”?

Jeśli cechą arcydzieła jest magnetyczna siła, która nawet po latach pobudza komentatorów do nowych interpretacji, to na dziś arcydziełem polskiej literatury jest „Lalka”. Kilka lat temu sięgnęła po nią Olga Tokarczuk, odczytując ją przez psychologię głębi. Efektem był esej „Lalka i perła”. Szkoda, że wydana właśnie wspomniała książka **Krzysztofa Rutkowskiego „Wokulski w Paryżu” (słowo/obraz terytoria)** przeszła prawie niezauważona. To piękna fantazja na temat powieści i jej wywrotowa interpretacja: „Lalka” to tak naprawdę nie książka o Warszawie, ale o Paryżu, i nie powieść pozytywistyczna, ale erotyczna i mistyczna. Niemal równocześnie ukazała się bardziej tradycyjna książka **Józefa Bachórze „Spotkania z »Lalką«” (słowo/obraz terytoria)**. Dowiemy się z niej, że słynne „rumieńce Wokulskiego” to efekt młodzieńczej fascynacji Prusa fizjonomiką, pseudonauką rozwiniętą w XVIII w. przez szwajcar-

skiego pastora Johanna Kaspara Lavatera, zgodnie z którą charakter człowieka odpowiada wyglądowi jego twarzy. W „Lalce” Prus nie wierzył już tym poglądom - raczej się z nich podśmiewał.

Bardzo lubię „Serię ze strachem” Wydawnictwa Czarne. Nie tylko przybliżyła nieznanym wcześniej autorów kryminałów (nie wszyscy są Szwedami - co za odmiana!), ale czyni to w niebanalnej oprawie graficznej nawiązującej pastiszowo do estetyki kryminałów wydawanych w PRL-u. W tej serii ukazały się właśnie **„Partytura śmierci” Niemca Jana Seghersa (przet. Sebastian Musielak)** i **„Mężczyzna o twarzy mordercy” Fina Mattiego Rönki (przet. Elżbieta Kalinowska)**. Bohatera pierwszej powieści dogania po latach trauma z dzieciństwa, bohater drugiej szuka zaginionej żony antykwariusza i wplątuje się w narkoafere. A jeśli, oprócz kryminałów, waszą wstydliwą przyjemnością są filmy porno, możecie już przestać się kryć. Oglądając je, trzymajcie pod ręką naukową książkę **Lindy Williams „Hard core” (słowo/obraz terytoria, przet. Justyna Burzyńska, Irena Hansz i Mitoz Wojtyna)**. Profesorka z Berkeley opowiada w niej o historii pornografii i jej gatunkach. Pokazuje różnorodność wyklętej gałęzi kinematografii i kwestionuje stereotyp, że wszystkie pornosy poniżają kobiety. Miłego oglądania. To jest czytania.